

Biblioteka Sejmu Śląskiego

47514

JERZY PIŁSUDSKI

W DZIESIĄTĄ ROCZNICĘ POWSTANIA LEGJONÓW

(Przemówienie wygłoszone dnia 10. VIII. 24.
na Zjeździe Legionistów w Lublinie)

WARSZAWA 1924

TOW. WYDAWNICZE „IGNIS”
(E. WENDE I S-KA) SPÓŁKA AKCYJNA

W DZIESIĄTĄ ROCZNICĘ
POWSTANIA LEGJONÓW

PRACE J. PIŁSUDSKIEGO:

O wartości żołnierza Legjonów — r. 1923.

Wspomnienia o Gabrjelu Narutowiczu — r. 1924.

Rok 1863 — r. 1924.

Naczelní Wodzowie — r. 1924.

Rok 1920 — r. 1924.

JÓZEF PIŁSUDSKI

W DZIESIĄTĄ ROCZNICĘ
POWSTANIA LEGJONÓW

*(Przemówienie wygłoszone dnia 10. VIII. 24.
na Zjeździe Legjonistów w Lublinie)*

WARSZAWA 1924

TOW. WYDAWNICZE „IGNIS”
(E. WENDE I S-KA) SPÓŁKA AKCYJNA

2423
15

47514

I

Ge. Kriz. Wojakowa Warszawa

7. III. 35

0.6021

DRUKARNIA I LITOGRAFJA
p. f. „JAN COTTY”
W WARSZAWIE, KAPUCYŃSKA 7.



Szanowne Panie i Szanowni Panowie!

Dziesięć lat! Dziesięcioletni jubileusz! W brygadzie, którą dowodziłem, do jubileuszów spieszono. Obchodzono tam rocznicę 6-go Sierpnia nie raz, lecz dwa razy do roku. Co pół roku musiała być uroczystość, przy której wymagano ode mnie mowy. Według więc 1-ej Brygady mielibyśmy już dwudziestą rocznicę, nie dziesiątą. I nie mogę nie stwierdzić, że ten pierwszobrygadowy zwyczaj ma głębokie podstawy. Sądzę, bowiem, że śmiało możnaby było ilość rocznic jeszcze powiększyć, by dojść co najmniej do półwiecza, to znaczy okresu, w którym jedno pokolenie w swojej większości wychodzi za światy, by dać miejsce nowemu pokoleniu i nowemu życiu.

Niewątpliwie, moi Panowie, okres czasu, który przeżyliśmy w przeciągu ubiegłych lat dziesięciu, jest tak bogaty w zmiany, że żaden człowiek nie mógł nie ulec równie głębokim przemianom wszystkiego, co jest jego jaźnią. Każdy ma swe codzienne życie inne, niż dziesięć lat temu. I gdy uprzytomnimy sobie, ile jest tych zupełnie innych myśli i zupełnie innych czynności, które wypełniają całe nasze dzisiejsze życie, to mo-

żemy zupełnie spokojnie i śmiało powiedzieć, że mamy teraz do czynienia z całkiem innymi osobami, niż te, które nosiły ongiś to samo imię i to samo nazwisko.

Cała szarzyzna poprzedniego życia codziennego jest dla każdego człowieka inną niż dziesięć, jedenaście, piętnaście lat temu. O każdej z drobnych spraw, z których składa się przecież życie, inaczej się dziś myśli, inaczej ją załatwia. Znikły dawne kłopoty, związane z najmniejszą choćby podróżą, inaczej się dziś myśli o zajęciu codziennem, inaczej o rozkoszach zabawy. Trwogi zaś i bóle, radości i szaty, inny „timbre“ mając, rylcem swoim inaczej kształtują duszę człowieka, czyniąc go niepodobnym do siebie samego z czasów przedwojennych. Fizycznie może jesteśmy ci sami, lecz jako osobniki socjalne, będące w związku stałym i koniecznym z innymi ludźmi, zmieniliśmy się tak dalece, że mowy być nie może o robieniu porównań nas z temi samemi osobnikami fizycznymi z owych przedkatastrofalnych czasów. I jeśli to mówię, Sz. Panie i Sz. Panowie, to nie dlatego, żebym każdego zwyczajnemu Pierwszej Brygady chciał przed wami bronić, lub go uzasadniać, lecz dlatego, by zdobyć prawo spokojnej oceny i spokojnego stosunku do wszystkiego, co się ongiś, temu lat dziesięć fizycznych, a co najmniej z pięćdziesiąt lat moralnych, działo i widziało.

Pokolenie całe minęło i odeszło w zaświaty, mamy życie nowe, mamy życie inne. Więc niech nie brzmi paradoksalnie dla Pań i Panów, gdy żądam i proszę o spokojną ocenę grzechów i zasług, śmieszności i psot naszych—że tak powiem—ojców i matek, dzia-

dów i babek. Można przecież spokojnie odnieść się do tej epoki, nie szukając koniecznie upiększenia sobą samym głupstw czy niecnot swoich przodków.

Jesteśmy całkiem inni i przykładów potemu nie brak. Ja, na przykład, w Polsce osiwiąłem, gdy niegdyś rówieśnicy i koledzy zazdrościli mi płowej czupryny, nie mającej siwego włosa. A gdy sięgnę do przedpotopowego i przedkatastrofalnego zasięgu kulturalnego i wyciągnę stamtąd jakieś znalezisko, np. mamuta, to nie mogę tego ponurego włosatego monstrum, opędzającego się długim, śmiesznym ogonem od mnóstwa napastujących owadów, porównać z młodem słońiątkiem, igrającem w słońcu swobody Polski, — chociażby ten mamut i to małe słońiątko toż samo nosiły imię. Albo Sz. Panie i Sz. Panowie — inne znalezisko przedpotopowe: poczwarny potworek ichtiouzaury! Ongiś siedział na podkurczonym pod siebie, długim jaszczurczym ogonie, z wdzięcznie kangurowato w pałąk wygiętym grzbietem, nastawionemi lisiemi uszkami i chytrze biegającemi oczkami. Czy można go poznać i uznać za to samo stworzenie, gdy obecnie jaszczurowatym ogonem jak sztandarem wgórze wywija, grzbiet po wielkopańsku prostuje, a na ziemię naszą z bezzębnej paszczy krokodylej siarkowodór ziejie.

Głębokie te zmiany, któreśmy przeżyli, sięgają tak daleko, że staliśmy się nowymi ludźmi. Wielkość zmian nie odpowiada wcale owemu, względnie krótkiemu, okresowi czasu, który nas dzieli realnie od życia tych—według mego określenia—ojców czy dziadów naszych. Pochodzi to stąd, że pomiędzy nami a między rokiem

1914-ym istniała katastrofa, istniał potop z tak szybko postępującymi, nieuchronnymi i koniecznymi przeżyciami, że o powolnej ewolucji mowy być nie mogło. Gdy w procesach geologicznych, ślimaczek ze ślimaczkiem gdzieś się zlepiwszy, w wiek potem wytworzą cał jakiegoś ładu, gdy drobna kruszyna piasku gdzieś z jakimś startym do mialu kamyczkiem szepiona, w ciągu lat i wieków wytwarza u ujścia rzek maleńką wysepkę, jest to proces ewolucyjnej pracy przyrody, za której skutkami człowiek nie nadąża całem swoim życiem. Gdy zaś ziemia w jakiejś potwornej konwulsji wnętrze swe otworzy, wchłaniając kilometry kwadratowe ziemi, potem i pracą ludzką zmienionej w ogrody i osiedla; gdy we wstrząśnieniach na powierzchnię mórz wyrzuci nagle wielkie wyspy; gdy zmieni łańcuchy gór, łamiąc i niszcząc jedne a tworząc nowe, mamy proces katastrof. Wtedy życie ludzkie na miejscach dotkniętych katastrofą skraca się do jednej chwilki, tak że wczoraj jest całkiem odmienne od dzisiaj. Dwa te procesy ewolucji i katastrofy nie mogą być ze sobą porównywane. Inaczej rzeźbią one nasz padół płaczu, inaczej każą ludziom czas liczyć.

Mieliśmy w ostatniem dziesięcioleciu katastrofę. Katastrofą tą była wojna europejska. Szła ona na Polskę ówczesną jakimś piorunowym pędem, w jakichś lamparcich podskokach, oszałamiając szybkością swego rozwoju i nieubłaganą koniecznością wszystkich ludzi. Ileż wojen wypowiedziały państwa państwom! Portugalia ogłaszała wojnę Niemcom. Niemcy stawiały ultimatum na prawo i na lewo. Austrija zaczynała wojnę

z Serbją, Rosja z Austrią i z Niemcami, Francja odrzucała ultimatum, Anglja je stawiała. Deklaracje wojen zajmowały w dziennikach ówczesnych całe szpalty.

Trzeba stwierdzić, że Polska ówczesna, to znaczy, ci Polacy, którzy w owym czasie żyli, wojny nie chcieli i wojny nie wywoływali. Dobrze teraz od czasu do czasu nagle zadeklować, że Polacy, zgodnie z wolą Mickiewicza, modlili się o wojnę światową, ale to przecież był tylko Mickiewicz, który, jak wiadomo, do pokolenia 1914-go r. wcale nie należał! Pokolenie ówczesne, zgodnie ze wszystkimi świadectwami, do żadnego ryzykanctwa skłonne nie było i gdyby politycy, rzucający się w wir wojny świata, zechcieli posłuchać sądów i opinij ówczesnych Polaków, trwożliwie rozmawiających w kawiarniach i domach, to napewno nie byłoby wojny.

Polska więc, stwierdzam to raz jeszcze, wojny nie chciała i wojny nie wywoływała. Więcej nawet! W mnóstwie deklaracyj, składanych z powodu wojny, w całym szeregu mów odpowiedzialnych kierowników państw, w nieskończenie wielkiej ilości artykułów w piśmie całego świata, w rozmowach i dyskusjach o tej piorunowo na ludzi następującej katastrofie, mowa była o wszystkim. Mówiono więc o nieprzedawnionych prawach do tej czy innej prowincji sąsiada, o odwiecznych a złośliwych wrogach narodu czy państwa, o konieczności posiadania miejsca pod słońcem, o obrazach prestige'u, o mordach i zabójstwach bez kary, o gwarancjach pokoju czy bezpieczeństwa. Mowa była o wszystkim, o wszystkich możliwych motywach

czy powodach katastrofy, lecz o Polsce, czy jej prawach i interesach, czy miejscu pod słońcem — mowy nie było wcale. Stwierdzić to należy z całą stanowczością, gdyż z tego wynikały wielorakie następstwa. Dopiero znacznie później, gdy wojna już wielkie szczyrby w sile wszystkich państw zrobiła, zdarzył się fakt, że Ameryka, przystępując do wojny, zgłosiła deklarację, w której jeden z jej czternastu punktów żądał Polski, jako państwa mającego mieć dostęp do morza. Na początku jednak katastrofy, w roku 1914, nikt o Polskę wojować nie chciał.

Polska więc wojny nie szukała, wojny nie chciała, wojny nie wywoływała—wojna, przez innych toczona, nie miała żadnych, choćby najmniejszych, zadań, tyjących się Polski. Polska miała być jedynie teatrem wojny. Z tego zaś faktu wynikły różne następstwa, do których, między innemi, należy i początek Legionów.

Nim do wyjaśnienia znaczenia teatru wojny przystąpię, zatrzymam się na decyzji i postanowieniach nie Polski, gdyż ta jako całość do decyzji powołana nie była, lecz ówczesnych Polaków. Polska w owych czasach, jak to wszystkim wiadomo, rozdarta była przez trzy państwa zaborcze: Rosję, Austrię i Niemcy, które właśnie przystępowały do orężnej rozprawy. Jeżeli weźmiemy ogół Polaków ówczesnych, to pomimo iż żyli w całkiem odmiennych warunkach, pomimo że w początkach tej z błyskawiczną szybkością postępującej wojny w żaden żywy sposób zmówić się nie mogli, to jednak decyzja wszystkich Polaków wypadła zdumiewająco jednakowo. Wszędzie zdecydowano pod-

dać się losowi wojny i, oddawszy Bogu—co boskie,—to jest westchnienie, oddać cesarzowi, co cesarskie,—to jest życie i mienie. Nie chcę wcale wchodzić w to, jakimi były motywy, czy myśli, czy uczucia, czy sentymenty w owej chwili. Chcę jedynie stwierdzić fakt niezaprzeczony, że we wszystkich trzech częściach Polski mobilizacja sił państwowych, to znaczy zaborczych, względnie najzupełniej się powiodła. Fakt ten można najrozmaiciej tłumaczyć, najrozmaiciej upiększać, lub ganić, z powodu niego cieszyć się czy boleć,—przejsć jednak nad nim do porządku dziennego, twierdzić, że Polacy postąpili inaczej—niepodobna. Objętnem jest również, czy ten lub ów Polak siedł w szeregach obcej armji z trwogą czy namiętnością, z wyrachowania jedynie czy z przekonania, zawsze w każdym z tych indywidualnych Polaków musiała być cząstka decyzji dla postępuku tego a nie innego. Mogę więc śmiało twierdzić, że wogóle Polacy zdecydowali nie opierać się prawom swego państwa zaborczego i służyć podczas wojny pod sztandarami, godłami i znakami obcych, zaborczych armij. Używali w ten sposób państwowi dla ich politycznych, niezwiązanych z Polską celów tego, czego państwa te wymagały — żołnierza.

Danina ta stawała się dla Polaków specjalnie ciężką. Obciążało ją dodatkowe brzemie, z powodu którego ludzie szaleli prawie z rozpacz. Państwa zaborcze miały toczyć wojnę między sobą na polskim teatrze wojny—Polacy musieli być awangardą i toczyć wojnę od pierwszego momentu bratobójczą.

Przemawiam w Lublinie, i na niedalekich stąd polach pierwsze krwawe i mordercze boje toczone były przez Polaków z Polakami. Z jednej strony więc—austrjackiej — szły ku Lublinowi korpusy I-y i X-ty krakowski i przemyski, w których co najmniej 90% stanowili Polacy. Odwrotnie, z rosyjskiej strony, w obronie Lublina i jego okolic stawał XIV-ty korpus rosyjski, z tej właśnie ziemi zmobilizowany. Na północy, ze strony niemieckiej, szedł korpus XVII-ty gdański, zmobilizowany z dzisiejszego Pomorza, a przeznaczony do walki z korpusami rosyjskimi, mobilizowanymi w Warszawie, Płocku, Łomży, Grodnie i Wilnie. Ten mus bratobójczej walki następstwem był koniecznem i naturalnem oddania cesarzowi, co cesarskie, i poddania się losowi wojny, nie o Polskę prowadzonej. Podkreśla to silnie fakt, który zaznaczałem wyżej, że Polacy wogóle nie szukali jakiegokolwiek innej decyzji, jak tej, która im była dana przez państwa zaborcze. I znowu powtórzę, że jest obojętnem dla samego faktu, jakie uczucia szarpały serca tego czy innego Polaka, gdy strzelał do swych zakordonowych braci na rozkaz swego zaborcy. Przecież nie można podejrzewać, by nasi bracia Wielkopolanie, zmobilizowani w V-ym i VI-ym rezerwowym korpusie poznańskim, z dumą i radością wkładali na głowy pikielhauby i, w ciasny mundur pruski odziani, szukać chcieli zwycięstwa nad Francuzami pod Verdun.

Stwierdziwszy ten fakt niezaprzeczalny, przechodzę do wyjaśnienia okoliczności, że Polska stać się musiała teatrem wojny. Każdy teatr wojny w każdym

starciu orężnem nieść musi wielkie ofiary, lecz ma także i swoje beneficja. Jest to prawo wojny. Prawo znane mi doskonale ze studjów nad wojną, znane również z doświadczenia, jakie zebrałem zarówno z wojny europejskiej, jak z naszej — polskiej. Znać trzeba dokładnie teatr wojny, gdyż daje to jedną z poważnych szans zwycięstwa. A usposobienie ludności w stosunku do wojsk, toczących wojnę, niemałe ma znaczenie, stwarza bowiem ułatwienia lub przeszkody dla żołnierzy i ich wodzów.

Polska miała być takim teatrem wojny. Widzieliśmy więc, jak w pierwszej chwili, gdy tylko wojna wybuchła, monarchowie wszystkich trzech państw zaborczych zapalali nagle wielką sympatją do naszego narodu, proklamując ją w specjalnych odezwach. Nie wiele różniły się one zasadniczo pomiędzy sobą. Sędziwy monarcha ludów Austrii i Węgier, Franciszek Józef, w tych samych prawie słowach stwierdzał swoją ojcowską miłość dla Polaków, jak surowy monarcha niemiecki, Wilhelm II, i Wielki Książę Mikołaj Mikołajewicz, który stanął na czele wojsk Białego Cara. Odezwaniami temi, wyrażającemi uczucia i sympatje dla Polaków, starano się ubrać przykry nieraz przymus posłuszeństwa względem zaborców w jakieś chociażby skrawki piękniejszych i idealniejszych motywów. Poza temi odezwaniami zastosowano do Polski zwykły repertuar środków, związanych z teatrem wojny. Więc najprzód terror w najszerszem tego słowa znaczeniu. Wszystko, co mogło być uznane za podejrzanе, co bez wojny mogłoby żyć nadal spokojnie, uwięziono,

by internować gdzieś w głębi państw toczących wojnę. Wzmocniono, jak zawsze, prawa wojska w stosunku do ludności, zaostrażając kary za wszelkie występki, zakłócające działania wojskowe.

Skierowano też, jak zwykle, na teatr wojny strumień złota, by tam, gdzie nie wystarczy skrawek idealizmu czy strach wzniecony terrorem wojny, spróbować zwykłego w takich wypadkach środka — przekupstwa. Złoto więc płynęło pod różnemi pozorami: czy w postaci wynagrodzenia za straty, dawanego hojniej pokornym, a odmawianego, lub dawanego w małych kwotach obojętnym czy niepokornym; czy w postaci najrozmaitszych subsydjów pismom, instytucjom i towarzystwom; czy w tej najgorszej i najbrzydszej postaci — kupowania sobie ludzi jako szpiegów i informatorów w najrozmaitszych kwestjach i dla najrozmaitszych celów.

Oto zwykle ofiary i zwykle beneficja teatru wojny.

Bywają jednak i beneficja nadzwyczajne, związane albo z wpływowymi na teatrze wojny ludźmi, albo ze szczególnemi względami, które chce się brać w rachubę. Są to, że się tak wyrażę, beneficja specjalne. Do nich należy i to, co nazywamy teraz czynem legjonowym. Człowiek noszący to samo nazwisko, co ja, należał do rzędu ludzi wpływowych, mających w owe czasy szczególny, że tak powiem, kaprys. Stał on bowiem na czele niewielkiej zresztą, garści ludzi, szerzących przekonanie, że Polska z poniżenia niewoli wyjść może jedynie zapomocą zbrojnego ruchu, korzystając z tego czy innego momentu. Straszono go więc z jednej strony

zwykłym środkiem—zamknięciem wraz z przyjaciółmi w jakichś twierdzach czy obozach dla internowanych; z drugiej strony zgadzano się na próby tworzenia oddziałów polskich, zgóry lekceważąc te poczynania. Zgoda ta była więc jednym ze środków udzielania wpływowym ludziom beneficjów specjalnych, których prawdopodobnie w innej postaci, nie tak krzyczącej, udzielano łaskawie ze strony wszystkich trzech zaborców. A ciekawy historyk pewnie w niedalekiej przyszłości odnajdzie dosyć dokumentów dla potwierdzenia tej prawdy.

W ten sposób powstał początek tego, co nazywamy obecnie czynem legionowym. Było to dla jednego z zaborców coś w rodzaju sposobu rozdawania beneficjów specjalnych, dla mnie zaś i tych, którzy za mną poszli, była to próba rozstrzygnięcia problemu, męczącego w owe czasy wielu Polaków, podczas gdy ogromnej większości naszego narodu był najzupełniej obcy. Narody i państwa, biorące udział we wojnie, jako swoją reprezentację czynną wysłały na plac boju wodzów i żołnierzy. Wszyscy Polacy, jak to już mówiłem, pogodziwszy się z losem, wyrzekli się jej. Dali żołnierza pod obce, zaborcze znaki i godła, i zwiększyli w ten sposób siłę reprezentacji obcych, zaborczych wodzów. My zaś, legioniści, rozstrzygnęliśmy tę sprawę inaczej. Daliśmy próbę reprezentowania na polu bitwy Polski, więc narodu bez państwa i rządu—tak jak to czynili inni, to znaczy przez własnych wodzów i własnych żołnierzy.

Próba ta została zlekceważona przez wszystkich, skazana przez wszystkich zgóry na nieudanie, przez

wszystkich uznana za niemożliwą do wykonania. Jest zupełnie obojętnem dla mnie i dla moich wywodów, jak kto o tem sądził wtedy, czy sądzi teraz, jakie kto o mnie, czy o moich kolegach, wydawał wtedy lub wydaje teraz opinie. Jest obojętnem, czy ktoś za jakimś żulikiem Zamorskim powtarzał, iż prowadziła nas chęć rabunku i bandytyzmu, czy uważa nas wraz z innymi za płatnych agentów Wilhelma, czy Franciszka Józefa, czy przypisywał nam wówczas, lub przypisuje teraz szaleństwo i bezrozum, czy na moją siwiejącą głowę rzucał czy rzucać będzie przekleństwa za gubienie szlachetnej młodzieży, czy wreszcie w owe czasy sentymentalne ronił łzy nad ofiarami szlachetnych i zielonych głów młodych — jest to zawsze wszystko jedno dla historycznego faktu, że ja i legjoniści postąpiliśmy w te czasy, gdy potop wojny zalewać zaczął naszą ziemię, inaczej niż wszyscy Polacy. Niepodobna było sfałszować tego faktu, gdyż każdy z przyszłych historyków znaleźć musi dla tej chwili całe mnóstwo dokumentów historycznych w postaci rozkazów, raportów, opisów działań i czynności, zarówno moich, jak i moich kolegów z Legjonów.

Jak już wspomniałem, próbę tę zlekceważono ze wszystkich stron, uważano, że niemożliwa jest do wykonania i że wymaga co najmniej licznych i zasadniczych poprawek. Nawet przez wielu przyjaciół wystąpienia mego i legjonistów rzecz uważana była za niepodobną do wiary i zasługiwała na lekkie wzruszanie ramionami. Uważano specjalnie jedną poprawkę za konieczną ze stanowiska, jak sądzono, rozumu, roz-

sądu i użyczenia powagi przedsięwzięciu. Sądzone, że jest rzeczą nieodzowną oddać całą pracę organizacyjną, mającą przekształcić oddziały strzeleckie w istotne wojsko, oficerom z armji austriackiej, inaczej przedsięwzięcie nie będzie miało autorytetu dla nikogo, nawet, jak mówiono, dla nas samych — legjonistów.

Podkreślam więc i powtarzam raz jeszcze. Gdy wojna w 1914-ym roku wybuchła, Polacy we wszystkich trzech zaborach zdecydowali oddać Bogu, co boskie — cesarzowi, co cesarskie. Ja i legjoniści postąpiliśmy inaczej, a bez względu, jak kto wtedy patrzył i jak teraz to widzi, zdecydowaliśmy spróbować, czy nie można dać naszemu narodowi bez państwa przedstawicielstwa wojennego w postaci wodza i żołnierza. Usiłowania te przyjęto albo zupełnie niechętnie, albo z niedowierzaniem, specjalnie jeśli chodzi o próbę zdobycia reprezentacji przez wodza. Chciano wybrać go z pomiędzy oficerów austriackich, chociażby dla dodania powagi i rozumu przedsięwzięciu.

Odrzuciłem odrazu wraz z brygadą, którą dowodziłem, wszelkie próby w kierunku obdarzania nas tą powagą i tym rozsądkiem.

Wobec powszechnego niechętnego i niedowierzącego do nas stosunku zapytać się godzi, czy nam, legjonistom, próba ta się udała, czy zdołaliśmy choć w części swe zamiary wykonać i zrealizować. Nie chcę powtarzać myśli wypowiedzianych w zeszłorocznym moim odczycie, wygłoszonym we Lwowie, przy naszym dorocznem święcie. Powiem tylko, że armja austriacka, znając powszechne ku nam niedowierzanie,

pospieszyła odrazu wykorzystać szeroką bazę uczuć, istniejącą w Polsce w stosunku do nas, by wszelkimi sposobami nas skrępować, wszelkimi metodami nas pokory uczyć i wszelkimi drogami, negliżując nas, nam władzę narzucać. A jednak już w końcu roku 1914-tego, zaledwie w trzy miesiące po rozpoczęciu przez nas tak zwanego czynu legjonowego, zostaliśmy postawieni narówni z normalnymi oddziałami wojska, i też same, co innym, poruczano nam zadania. Ba, nie chcę być dumnym ani się chwalić, lecz w końcu października, po ciężkim boju, nazywanym przez nas pod Laskami, nie komu innemu, jak mnie i nam, powierzono najcięższą dla żołnierza służbę, służbę arjer-gardy, osłaniającej odwrót przed zwycięskim nieprzyjacielem. Pocóż negować te fakty lub je fałszować, gdy o tym szybkim awansie naszym — na równorzędnych z innymi żołnierzami — świadczy całe mnóstwo dokumentów w postaci raportów, rozkazów i relacji różnych dywizyj, korpusów i armij.

Niewątpliwie wobec silnego przeciwdziałania zaborców, opierającego się, jak mówiłem, na niechęci lub niedowierzaniu nam naszych własnych rodaków, droga legjonistów była trudna i zmusna. Szliśmy, zwolna torując sobie nadzwyczajnymi wysiłkami drogę ku postępowi, pozostawieni najczęściej tylko własnym siłom. I jeżeli w sprawie zdobycia reprezentacji przez żołnierza nie mogliśmy osiągnąć dostatecznej liczby, daliśmy wzamian szacunek dla jego tężyzny. O wodza prowadziliśmy walkę zaciętą i często zupełnie beznadziejną. Zmagania te, jak wiadomo, zakończyły się

katastrofą dla legionistów i katastrofą dla tego, kogo na wodza ich wysuwano, to znaczy dla mnie. Zostałem aresztowany i wywieziony do twierdzy magdeburskiej, a Legionom złamano skrzydła i możliwość rozwoju.

Nie mówię tego, Sz. Panie i Sz. Panowie, w jakimś celu osobistym. Żądając od wszystkich, by umieli spokojnie się odnieść do dziejów naszych fizycznych osób z tej dalekiej moralnie przeszłości, mam ten sam spokój w stosunku do dziejów własnych. Podkreślam tylko z naciskiem, że w walce naszej o niezależnego wodza byli zaborcy właśnie najmniej ustępliwi, że posiadali w tej sprawie najsilniejsze poparcie polskiego społeczeństwa, które nawet wtedy, gdy popierało Legjony, szukało, jak gdyby naumyślnie, najbardziej zależnego, najbardziej związanego człowieka, aby mu oddać dowództwo nad nami. Bezwiednie przypominają mi się czasy już swobodnej Polski, gdy nieraz się zdawać mogło, że Polacy najbardziej cieszyliby się z możliwości osiągnięcia tego, aby na ich czele, a specjalnie na czele wojska, stał nie Polak, lecz człowiek zależny od innego narodu, lub będący pod rozkazami innego państwa czy armji. Widocznie jest to ściśle związane z charakterem narodowym.

Gdy teraz, po dziesięciu latach fizycznych, a pięćdziesięciu co najmniej latach moralnych, rozważam często próbę, czynioną przez nas w owe czasy, waham się w swojej konkluzji jako historyk. Próba co do jakości żołnierza udała się niechybnie znakomicie. Udała się w tak dziwnie szybkim tempie, w tak niesłychanie krótkim czasie, że zaszczyt to przynosi wszystkim do-

wódcom mniejszym i większym, którzy tego dokonać potrafili. Lecz niema wątpliwości, że pod względem liczby siła naszej reprezentacji wojennej była nikłą w porównaniu z liczbą Polaków. Próba zaś siły, by zdobyć reprezentację w postaci wodza, zakończona katastrofą w 1917 roku, powodzenia nie miała, zostawiając jedynie głęboki ślad ciężkiej walki naszej nie tylko w duszach legionistów, lecz w znacznie szerszych kołach i kręgach naszego narodu.

Usiłowania te wiążą się ściśle z inną, może najbardziej istotną cechą całej pracy legionistów w owych czasach. Mówię tu o próbie naszej podniesienia godności narodowej i honoru polskiego. Niema dwóch zdań, że twarde prawo wojny z przymusem stałego ulegania musi dławić i dusić ciężko ludzi wogóle, lecz gdy prawo to w obcej jest ręce, poniżenie ludzi staje się najbardziej dotkliwem. Polska, będąca teatrem wojny, odczuła to poniżenie odrazu z trzech stron walczących. Bo jakby to sobie chciał kto upiększyć: czy zawiłem rozumowaniem i taką czy inną racją stanu, czy nagłem zamiłowaniem w brataniu Słowian, czy też wdzięcznością dla sędziwego monarchy Franciszka Józefa, pod którego opieką była Galicja najswobodniejszą częścią Polski — wszystko jedno! — prawa wojny ciążyły nad Polakami dotkliwiej niż nad innymi, dając w skutkach upokorzenie każdemu prawie Polakowi czy Polce. Na ziemi polskiej tańczono olbrzymiego kontredansa, przy którym całe połacie polskiego kraju przechodziły z rąk do rąk raz po raz. Ludzie się zatracali w tem zmienianiu bezustannem jednego

pana na drugiego. Co chwila trzeba było przystosowywać się do innych żądań, do innych wymagań i innych kaprysów. Bezsilność i bezradność ludzka, którą obserwowałem podczas tych kontredansów na ziemiach polskich, była tak krzyczącą, że nie mogę sobie wyobrazić, by najmniej czuły na godność i honor narodowy człowiek nie odczuł głębiej poniżenia ludzkiego, które czyniło z niego jakąś istotę niższego rzędu, spychaną systematycznie do błota.

Nie miałem sposobności obserwować bezpośrednio tych zjawisk po stronie wszechsłowiańskiej armji rosyjskiej. Mogłem jedynie chwycić błyski nienawiści ku tej armji na Podhalu, gdzie w bojach pod Limanową tańczyłem również swego maleńkiego kontredansa i widziałem wsie i miasta oswobodzone od Moskali. Przypominam sobie, z wściekłością pawtarzane, imię jakiegoś wszechsłowiańskiego generała hr. Kellera, który po pijanemu kazał sobie co noc sprowadzać dziewczuchy z okolic, zajmowanych przez jego dywizję jazdy. Jeszcze silniejsze i jaskrawsze błyski nienawiści obserwowałem wtedy, gdy Rosjanie przy cofaniu się z Królestwa palili wsie i sioła, pędząc ludność jak barany w dalekie i obce kraje. Ciekawem jest, że właśnie od tego czasu zastygł na ustach polskich zaimek „nasz“, który do tego czasu stałe był używany w Królestwie w stosunku do żołnierza rosyjskiego.

Zjawiska poniżenia godności ludzkiej u Polaków i zatracania się ich w ogromie wojny mogłem z natury rzeczy obserwować bliżej po tej stronie wojny, gdzie

walczyły wojska austriackie i niemieckie. Rzuć przed Wami, Sz. Panie i Sz. Panowie, kilka przykładów.

W czasie, w którym byliśmy przyczepieni do 1-go korpusu austriackiego, składającego się przecież z 90% żołnierzy i 60% oficerów-Polaków, w okresie walk, toczonych w powiatach sandomierskim i opatowskim, otrzymałem raz pewnego od komendy tegoż korpusu rozkaz okólny. Głosił on, jak dla Polaków, cynicznie, że wojna nie toczy się wcale o polskie interesy, że zatem komenda korpusu wymaga, aby w stosunku do ludności zachowywać się jak naj-surowiej, jako do ludności wrogiej, i że koniecznem jest utrzymanie autorytetu wojska, chociażby jak naj-drastyczniejszemi środkami. Osobiście ten rozkaz odeślałem z oświadczeniem, że słuchać go nie będę. Lecz proszę wyobrazić sobie uczucia oficerów i żołnierzy-Polaków, którzy w opatowskim mieli się zachowywać w stosunku do swoich rodaków jak najbardziej wrogo i surowo.

Oto obrazek drugi. W czerwcu 1915 r. z tego samego sandomierskiego zostałem wezwany do Naczelnej Komendy austriackiej. Przejeżdżając w aucie wzdłuż etapów pierwszej armji austriackiej, skonstatawałem, że w miasteczkach polskich nakazano wszystkim mieszkańcom, nie wyłączając kobiet, schodzić z chodników na ulicę przy spotkaniu oficerów, wszystkim zaś mężczyznom zdejmować przed nimi nakrycie głowy. W Komendzie Naczelnej austriackiej zrobiłem z tego powodu awanturę i oświadczyłem, że zarówno ja, jak i moi oficerowie, zachowywać się będą od-

wrotnie i sami przed każdą kobietą będą schodzili z chodnika na ulicę.

Nie mogę wreszcie nie przytoczyć tu charakterystycznej odpowiedzi, którą otrzymałem raz w sztabie sławnego Hindenburga w Kielcach, gdy dawał drastyczne przykłady sposobu zachowania się niemieckich żołnierzy i oficerów w stosunku do ludności. Twierdziłem, że możnaby zupełnie śmiało tych szykan nie robić i nie zaczepiać naprzykład rozmyślnie na ulicach kobiet pytaniem, gdzie tu jest dom publiczny, nie palić w piecach meblami i nie rozbijać wszystkich szkieł od lamp przy opuszczaniu wsi lub miasteczka. Wyższy oficer sztabu, z którym w tej kwestji rozmawiałem, po obietnicy wydania rozkazu polecającego inne postępowanie, dodał filozoficznie: „Panie, gdyśmy wchodzili do Polski, byliśmy zupełnie niepewni tego, jak się ludność do nas odnosić będzie. Stąd to wahanie między środkami gwałtownymi i łagodnymi. Tem niech Pan sobie tłumaczy Kalisz, który wobec tego, cośmy w Polsce spotkali, był zupełnie niepotrzebny. Znaleźliśmy bowiem jakieś miękkie ciało, przez które gdy przechodzimy, to na spodniach zostają tylko tłuste plamy“.

To cyniczne określenie sztabowca pruskiego stało mi w pamięci przez cały czas wojny, gdy z niepokojem w duszy przyglądałem się temu, jak Polacy na zjawiska wojenne reagują, jak śmieszni muszą być w oczach tych, którzy znają prawo wojny — ze swoją bezradnością sądów, że swoim pokornem przystosowaniem się do każdego żądania i każdego wyma-

gania. Nigdy nie było jednak dla mnie wątpliwości, gdym na to patrzył, że gdzieś na dnie serc, gdzieś w ukrytych załomach duszy było uczucie głębokiego upokorzenia i jakiś stłumiony bunt przeciwko bezlitosnemu wdeptywaniu nas w błoto coraz to innym buntem żołnierskim.

Legjoniści byli w tych czasach wyrazicielami tego buntu i to wyrazicielami jawnymi, walczącymi publicznie o szacunek dla tego, co polskie nosi imię. Nie chcę mówić o mojej walce, która, rozgrywana na terenie wyższych sztabów i wyższych dowództw, nie mogła być ani jawną, ani publiczną i wpływu bezpośredniego na ludzi wskutek tego wywierać nie mogła. Na oczach natomiast wszystkich szli legjoniści naprzód, przepychając się nieledwie łokciami, szli każdego dnia — wbrew ogólnemu codziennemu upokarzaniu się — na awantury, na małe, ale liczne utarczki z obcą zaborczą ręką w obronie swojej godności jako żołnierzy polskich.

Ileż takich drobnych scen staje mi w pamięci, gdy o tem mówię. Ileż śmiesznych, komicznych epizodów tej walki przeżyć musiał nieledwie każdy legjonista w tych czasach, gdy nosił mundur, świadczący o tem, że jest Polakiem i pod polskimi gołdami i znakami chce służyć.

Któż z tych, co w końcu września 1914 r. byli ze mną nad Wisłą pod Nowym Korczynem i Opatowem, nie wspomina tej zabawnej sceny, gdy przybyła z Krakowa kompanja uzupełniająca topiła w Wiśle czarno-żółte opaski, w które ją ubrano przy opuszcza-

niu Krakowa. Wstydem bowiem było u nas nosić jakąkolwiek oznakę, przypominającą mundury Austriaków czy ich kolory. Ileż to walk stoczono z temi oznakami. Ileż było starć publicznych na dworcach kolejowych, na ulicach miast, z powodu bezprawnego jakoby noszenia czy to naszych własnych oznak na mundurach, czy naszych własnych gard przy szablach, czy wreszcie, co się najczęściej zdarzało, z powodu oddawania honorów nie całą dłonią, lecz tylko dwoma palcami! - Codzienną walkę, widoczną dla oczu wszystkich, toczyli legjoniści o najmniejszy drobiazg, o polskie słowo komend, o głośne polskie rozmowy pomiędzy sobą w miejscach publicznych, o otwarte demonstrowanie wspólnoty swojej z otoczeniem polskiem, o jawne szanowanie polskich zwyczajów, o odwet za próby obrażania tego, co polskie. Legjoniści robili sobie z tej walki sport, przekraczający nieraz granice zwykłej przyzwoitości, szukali często sami publicznej zaczepki. Stali się przez to głośnymi we wszystkich urzędach, szczególnie etapowych, i znosić musieli z tego powodu całe mnóstwo szykan. Odpowiadali na nie hardo, wyszukiwali specjalnie obraźliwych słów, by wykazać swoją wzgardę dla tych ukłuć.

Walka ta nie mogła być niewidoczną dla ludzi. Nie mogła również nie dawać pewnej dozy satysfakcji zdeptanemu uczuciu honoru i dumy narodowej. I nieraz, gdy o tem myślę, przychodzę do przekonania, że ta hardość w pracy, noszącej zewnętrzne cechy pracy polskiej, była podstawą tego niezaprzeczonego faktu, że w końcu 1916 r. i do połowy 1917-go, gdy Le-

giony stały postojem na ziemi ojczystej, miały niezaprzeczoną szeroką popularność i coś w rodzaju sentymentu dla siebie w obu okupacjach: niemieckiej i austriackiej. Osobiście odczuwałem ten stosunek zupełnie jasno i wyraźnie podczas swego pobytu w Warszawie, zakończonego aresztowaniem i wywiezieniem do Magdeburga.

Uczucia te zjawiały się wszędzie, gdzie tylko legjoniści stanęli kwaterą. Szli oni tam tak jaskrawo wpoprzek zarządzeniom władz okupacyjnych, tak śmiało i hardo przekraczali rozmyślnie przepisy, ciężące nad całą ludnością, tyle czynili złośliwości, z tak niezrównanym humorem wykiwiali publicznie robotę austriacką i niemiecką, że doprawdy nieraz oczekiwałem, iż nastąpić musi jakieś krwawe starcie, przy którym część ludności wesprze legjonistów przeciwko władzom okupacyjnym. Odczuwali te tlejące iskry dokładnie niektórzy z legjonistów, gdy w okresie tak zwanego kryzysu przysięgowego w r. 1917 proponowali mi, jak rzecz według nich możliwą, by siłą oprzeć się wszelkim próbom narzucania nam przysięgi. Twierdzili przytem, że niechybnie będą podtrzymani w tym wypadku przez wszystkich włościan okolicznych.

Sz. Panie i Sz. Panowie! Starłem się w przeciągu dzisiejszego swego przemówienia wyświecić najistotniejsze cechy tak zwanego czynu legjonowego. Chciałem oswobodzić się od wszystkich domieszek i dodatków, wytworzonych w przeciągu ubiegłych dziesięciu lat zarówno przez tych, którzy niechętnie do

nas się odnosili, jak przez tych, którzy ten czyn wyolbrzymiają i przesadzają jego znaczenie.

Być może uraziłem niektórych ze swoich słuchaczy, usuwając na bok w tej analizie pierwiastki uczuciowe. Uczyniłem to jednak rozmyślnie, gdyż nie mam zamiaru nigdy twierdzić, że my, legjoniści, i ci, którzy nas kochali, mają wyłączne prawo do miłości ziemi ojczystej, lub, jak to się często mówi, do tytułu ofiarności. Polska bowiem i Polacy ponieśli podczas wojny tyle ofiar, składanych nieraz z wielką goryczą w sercu, że wobec ich ogromu drobnostką były nasze ofiary legjonowe, opłacane przytem wielką nagrodą, bo wewnętrzną satysfakcją.

Wywody moje, które Panom w tem przemówieniu dałem, są owocem częstych moich rozważań i rozmyślań nad pracą moją i pracą kolegów, podjętą w epoce, gdy Polska dopiero się stawała, gdy się odwracało wielkie koło historii, które ongiś nas w błoto niewoli wgniatało.

Streszczam swe myśli. Polska i olbrzymia większość Polaków wojny nie chciała, wojny nie wywołała i świadomą była tego, że ona nie o Polskę się toczy. Nie mając samodzielnego przygotowania do wypadków wojennych, Polacy uczynili przy wybuchu światowej katastrofy to, co czynili już dobre półwiecze w życiu codziennem — poddali się nakazom zaborców, wzmacniając w ten sposób siły każdego z nich. Niewielka garść ludzi, zwanych legjonistami, zdecydowała postąpić inaczej. Chciała dać Polsce podczas wojny reprezentację w postaci polskiego żołnierza i polskich dla

niego dowódców. Wskutek naturalnej niechęci i oporu ze strony zaborców, wskutek ogólnego niedowierzania, by zamiar ten mógł być zrealizowany, — próba udała się tylko w części. Stan ten musiał doprowadzić do silnych tarć, przy których my, legjoniści, walcząc nieustannie o swoje cele, staliśmy się najjaskrawszym wyrazem obrony honoru i dumy narodowej wobec systematycznego wgniatania nas w błoto przez maszynę wojenną wszystkich trzech zaborców. Dlatego też, pomimo iż ulegliśmy w walce, mamy za sobą tę wielką satysfakcję, żeśmy pierwsi w Polsce zaczęli żyć życiem wojska polskiego i przy powszechnem poniżeniu Polaków mieli spokój co do swego honoru i częste za-
dośćuczynienie dumy i godności narodowej.

Niech mi wolno będzie na zakończenie dodać słów parę o dziwacznej, tak często wypowiedzianej a głęboko dla mnie zabawnej opinii o czynie legjonowym. Jest ona związana z nadzwyczajnie śmiesznem interpelowaniem słowa „romantyczny“. Nie wiem doprawdy, czy ten przymiotnik nie był istotnie najczęstszem, najbardziej używanem określeniem w stosunku do naszej pracy w społeczeństwie polskiem. Powiadam, że wydaje mi się to niesłychanie śmiesznem. Słowo to przecież oznacza właściwie pewien okres w dziejach literatury całego świata; okres ten wszędzie, a więc i u nas, wydał ludzi, którymi się chlubi każdy naród. Każde dziecko zna nazwisko Adama Mickiewicza. Mnóstwo miast ma jego pomniki, każde bodaj miasteczko ulicę, ochrzczoneą jego wielkiem imieniem. Lecz u nas, po upadku powstania

63-go r., słowo „romantyczny“ nabrało jakiegoś dziwnego charakteru, zaczęło oznaczać poprostu „głupi“.

Ze śmiechem zawsze myślę o tych nieromantycznych tatach, którzy napędzają dzieci do klepania napamięć wierszy „romantycznego“ wielkiego poety. A iluż to śmiesznych pismaków, używających słowa „romantyczny“ poprostu jako „głupi“, pękłoby z radości i dumy, gdyby ktokolwiek trzepał tak napamięć ich piśmidła, jak dzieci nasze polskie mówią napamięć utwory „romantycznego“ Mickiewicza.

Lecz chcę ustąpić opinii polskiej i używać słowa „romantyczny“ jako „głupi“. Jest zwyczajem nazywać grzecznie „romantycznym“ tego, komu się coś nie udało. Jest zwyczajem, żeby człowieka niepraktycznego, który zabłądzi choćby w trzech sosnach, który drogi żadnej znaleźć nie potrafi, mienić nie głupim, lecz „romantycznym“. „Romantyczny“, to coś w rodzaju małego, niezdarnego dzieciaka, który siedząc na ręku matki, niepraktyczne, niepewne rączki wyciąga po jakąś błyskotkę, i ku wielkiemu swemu zdziwieniu nie ją chwyta, a naprzykład kosmyk włosów matki!

I takim właśnie romantycznym dzieckiem mieliśmy być my, legjoniści. Jakiż to zabawny sposób krytyki, świadczącej chyba tylko o głębokiej nieudolności myślenia! Czegóż chcieli legjoniści? Poco wyciągali oni nieudolne, dziecinne rączki? Chcieli dać Polsce żołnierza. Powiedzmy, chcieli błyskotki. Wyciągali jednak rączkę tak zręcznie i tak umiejętnie, działali tak praktycznie, tak trafnie dobierali odpowiednich środków, że pomimo przeszkód stawianych im

w tem nietylko przez zaborców, lecz i przez „nieromantycznych“ Polaków, — błyskotkę tę mieli w rękul Ba, powiedzieć nawet można więcej! Zdołali pomimo wszelkich trudności dać w dziedzinie wojskowej imiona, któremi Polska może się szczycić.

Porównajmy tę praktyczną, umiejętną pracę Legjonów z pracą ich krytyków. Z pracą tych „nieromantycznych“! Chcieli oni, siedząc na ręku matki — państw zaborczych — mieć w nieromantycznej rączce nie głupie błyskotki, lecz praktyczny kosmyk włosów matki. Czyż go mieli i mają? Czyżby więc nie czas było, zamiast wzruszać ramionami na „romantyczne“ a zatem głupie główki legionistów, pomyśleć o własnej „romantyczności“ i głupocie. Czyżby nie czas było pomyśleć o swojej nieumiejętności orjentacyjnej, która w 1914-ym r. zmusiła szanownych krytyków do błędzenia pomiędzy trzema sosnami zaborczemi, do czepiania się każdej z nich pokolei, i do tracenia często przytem dużo zdrowia moralnego.

Sz. Panie i Sz. Panowie! Kończę, prosząc zawsze o jedno. Spróbujmy spokojnie odnieść się do faktów, które się działy ongiś. Spróbujmy sobie spokojnie powiedzieć: grzechy, zrobione przy wybuchu wojny przez wielu Polaków, głupota, ongiś przez nich wykazana, nie upiększają, być może, historii naszej Ojczyzny, — działo się to jednak tak dawno, a my sami przeżyliśmy tyle zmian, że, doprawdy, nie warto o tych wypadkach tak dużo kłamać. Nie warto na nasze polskie imię narzucać tyle fałszu i tyle bezecnego łgarstwa, aby, jak to mi niegdyś mówił jeden z wiel-

kich ludzi tego świata, Polak i łgarz było zwyczajnym synonimem. Nie warto pracować tak usilnie fałszem, aby słowom i określeniom polskim nie chciano nigdzie dawać wiary. Na nasz czyn legjonowy narzucono wiadomo dlaczego tyle śmieci, tyle brudu i tyle kłamstwa, tylu ludzi pragnęło być „auch ein wenig“ legjonistami, jak gdyby chciano ciągle i dalej stwierdzać, że byłoby najlepiej dla Polski, gdyby w niej nie było ani jednego wyjątku i wszyscy Polacy w chwili, gdy godzina dla nas na dziejowym zegarze biła, poddali się bez zastrzeżeń woli, nakazowi, żądaniom i nawet kaprysom swoich zaborców. Czyż nie dosyć tej dziwnej namiętności do poszanowania czasów niewoli, niewoli upokarzającej Polaków i Polskę?

Biblioteka Śląska w Katowicach

Id: 0030000760834



I 47514